

ERNEST HEMINGWAY

Pierwsze 49 opowiadań

Przełożyła Karolina Wilamowska

Przedmowa

John, Patrick i Gregory Hemingwayowie

M A R G I N E S Y

The First Forty-Nine Stories

COPYRIGHT © BY Hemingway Foreign Rights Trust /
Hemingway Copyright Owners 2020. All rights reserved.

COPYRIGHT © FOR THE POLISH TRANSLATION BY
Karolina Wilamowska

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY
Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2025

Stolica świata

W Madrycie mieszka wielu chłopców o imieniu Paco, co jest zdrobnieniem od imienia Francisco, i po mieście krąży nawet dowcip o ojcu, który przyjeżdża do Madrytu i w rubryce ogłoszeń osobistych w „El Liberal” umieszcza wiadomość: „Paco spotkajmy się w hotelu Montana w południe we wtorek wszystko wybaczam Tata”, a potem trzeba całego oddziału Guardia Civil, żeby rozpedzić ośmiuset młodych mężczyzn przybyłych w odpowiedzi. Ale Paco, kelner w Pension Luarca, nie miał ojca, który by mu wybaczył, ani niczego, co ów ojciec musiałby wybaczać. Miał za to dwie starsze siostry, zatrudnione w Luarce jako pokojówki dzięki temu, że pochodziły z tej samej wioseczki co jedna z dawnych pokojówek, nadzwyczaj pracowita i uczciwa dziewczyna, która zyskała wiosce i jej wytworom dobrą sławę. Siostry opłaciły Paco autobus do Madrytu i załatwiły posadę młodszego kelnera. Pochodził z tej części Estremadury, gdzie żywności brakowało, warunki były nadzwyczaj prymitywne, a wygody nieznane, i odkąd sięgał pamięcią, ciężko pracował.

Był dobrze zbudowanym chłopcem z kruczoczarnymi, kręconymi włosami, ładnymi zębami i cerą, jakiej zazdrościły mu siostry, uśmiechał się często i szczerze. Ruchy miał zwinne i dobrze wykonywał swoją pracę, kochał siostry, które uważał

za piękne i wyrafinowane, kochał Madryt, który jawił mu się jako miejsce niesamowite, i kochał swoją pracę, która wykonywana w blasku światła, wśród czystych obrusów i strojów wieczorowych, z kuchnią pełną jedzenia, miała dla niego romantyczny powab.

W Luarce mieszkało i stołowało się od ośmiu do dwunastu osób, ale dla Paco, najmłodszego z trzech kelnerów usługujących do stołu, naprawdę liczyli się tylko toreadorzy.

W pensjonacie zatrzymywali się sami drugorzędni matadorzy, bo adres na Calle San Jerónimo był atrakcyjny, jedzenie wysmienite, a pokój i wyżywienie tanie. Toreador musiał stwarzać pozory zamożności, a przynajmniej godnego życia, ponieważ forma i godność to w Hiszpanii cnoty przewyższające nawet odwagę, dlatego też toreadorzy pozostawiali w Luarce do ostatniej pesety. Nie zdarzyło się, by któryś porzucił ją dla lepszego czy droższego hotelu, ponieważ drugorzędni toreadorzy nigdy nie stawiali się pierwszorzędnymi, łatwo natomiast było stoczyć się z Luarki w dół, ponieważ mógł tam mieszkać każdy, kto cokolwiek zarabiał, a gościom nie wystawiano rachunku bez pytania tak długo, jak długo kobieta, która prowadziła to miejsce, nie uznała, że sprawa jest beznadziejna.

W tym czasie w Luarce mieszkało trzech pełnoprawnych matadorów, dwóch bardzo dobrych pikadorów i jeden wyborny *banderillero*. Dla pikadorów i *banderilleros*, którzy rodziny zostawili w Sewilli i potrzebowali w Madrycie zakwaterowania na sezon wiosenny, Luarca była luksusem; pozostawiali jednak na stałych usługach toreadorów, solidnie zakontraktowanych na cały sezon, i zarabiali dobrze, prawdopodobnie lepiej niż którykolwiek z trzech matadorów, z których jeden był chory i starał się go ukryć, drugi szybko stracił swój urok nowości, a trzeci był tchórzem.

Ten ostatni niegdyś, nim został paskudnie zraniony rogiem w podbrzusze na początku swojego pierwszego sezonu jako pełnoprawny matador, odznaczał się wyjątkową odwagą oraz zręcznością i zachował wiele ze swojej rozbuchanej maniery ze złotego okresu. Był do przesady jowialny i śmiał się nieustannie, nawet bez powodu. W latach popularności chętnie stroił psikusy, teraz je porzucił. Wymagały pewności siebie, której już nie czuł. Miał inteligentną, bardzo otwartą twarz i nosił się z wielkim stylem.

Matador, który był chory, starał się to ukrywać i skrupulatnie kosztował wszystkich potraw, jakie podawano do stołu. Miał stertę chusteczek do nosa, które prał w pokoju, a ostatnio zaczął wyprzedawać swoje toreadorskie stroje. Pierwszy sprzedał tanio przed Bożym Narodzeniem, drugi na początku kwietnia. Były to drogocenne, znakomicie utrzymane stroje, z których ostał mu się jeszcze jeden. Mężczyzna, zanim zapadł na zdrowiu, był obiecującym, wręcz sensacyjnym toreadorem i chociaż nie umiał czytać, przechowywał wycinki z gazet, według których swoim madryckim debiutem przyćmił nawet Belmontego. Jadł samotnie przy małym stoliku i wzrok trzymał zwykle spuszczonej.

Matador, którego krótka sława zdążyła przeminąć, był wyjątkowo niski, śniady i bardzo dostojny. On także jadł przy osobnym stoliku, uśmiechał się rzadko i nigdy nie śmiał. Pochodził z Valladolidu, gdzie ludzie są nadzwyczaj poważni, i był sprawnym matadorem; ale jego styl zestarzał się, nim on pozyskał sobie publiczność swoimi cnotami, do których należały spokój i odwaga, i dziś jego nazwisko na afiszu nikogo nie przyciągało na trybuny. Wyróżniał się wzrostem tak niskim, że ledwo widział nad kłębem byka, ale trafiali się też inni niscy toreadorzy i nigdy nie udało mu się wkraść w łaski widzów.

Jednym z pikadorów był szczupły, siwowłosy mężczyzna o jastrzębiej twarzy, lekkiej budowie ciała, ale nogach i rękach jak z żelaza, który pod spodniami nosił buty z wysoką cholewką, co wieczór się upijał i patrzył poządlawie na każdą kobietę w pensjonacie. Drugi miał potężną posturę, przystojną, śniadą twarz, czarne jak u Indianina włosy i ogromne dłonie. Obaj uchodzili za świetnych pikadorów, choć o pierwszym mówiło się, że pijaństwo i rozpusta odebrały mu sporo zręczności, a o drugim, że jest zbyt uparty i kłótlawy, by matador wytrzymał z nim dłużej niż sezon.

Banderillero był siwym człowiekiem w średnim wieku, który mimo swoich lat poruszał się zwinnie jak kot, a gdy siedział za stołem, sprawiał wrażenie średniozamożnego przedsiębiorcy. W tym sezonie nogi wciąż mu służyły, a gdyby nawet miały odmówić posłuszeństwa, był dość inteligentny i doświadczony, by zapewnić sobie stałe zajęcie jeszcze przez długi czas. Aczkolwiek teraz spokój i pewność siebie nie opuszczały go tak na arenie, jak i poza nią, natomiast spowolniony w ruchach, stale odczuwałby strach.

Tego wieczoru jadalnię opuścili już wszyscy z wyjątkiem pikadora o jastrzębiej twarzy, który pił za dużo, licytatora zegarków, który jeździł po jarmarkach i festynach w całej Hiszpanii, miał znamię na twarzy i też za dużo pił, oraz dwóch galisyjskich księży, którzy siedzieli przy stoliku w rogu i nawet jeśli nie pili za dużo, to z pewnością pili wystarczająco. Wino w Luarce było wówczas wliczane w cenę pokoju i wyżywienia, tak więc kelnerzy przynieśli po kolejnej butelce *valdepeñas*a najpierw do stołu licytatora, potem do pikadora i wreszcie do księży.

Trzej kelnerzy stali na końcu jadalni. Zgodnie z regułami każdy powinien był pozostać na służbie aż do wyjścia gości, za których stolik odpowiadał, ale ten, który obsługiwał dwóch

księży, wybierał się na zebranie anarchosyndykalistów i Paco zaoferował się, że go zastąpi.

W pokoju na górze matador, który był chory, leżał samotnie twarzą do łóżka. Matador, którego sława przebrzmiała, siedział i wyglądał przez okno, gotując się na wyjście do kawiarni. Matador, który był tchórzem, gościł w pokoju starszą siostrę Paco i próbował ją namówić na coś, czego ona ze śmiechem odmawiała.

– No chodź, ty mała dzikusko – mówił.

– Niby czemu? – odpowiadała.

– W ramach przysługi.

– Najadłeś się, a mnie chcesz na deser.

– Tylko ten jeden raz. Co ci szkodzi?

– Lepiej zostaw mnie w spokoju, dobrze ci radzę.

– To przecież nic takiego.

– Zostaw mnie, mówię.

W jadalni najwyższy z kelnerów, który był spóźniony na zebranie, powiedział:

– Tylko popatrz, jak chleją te czarne świnię.

– Niedobrze tak mówić – odparł drugi kelner. – To porządku klienci. I nie piją za dużo.

– A właśnie że dobrze – upierał się ten wysoki. – To są dwa przekleństwa Hiszpanii: byki i klechy.

– Chyba nie każdy jeden byk i nie każdy jeden ksiądz.

– A i owszem. Tylko niszcząc jednostki, można zniszczyć klasę. Dlatego trzeba zabić każdego jednego byka i każdego jednego księdza. Wszystkich. Dopiero wtedy przestaną istnieć jako całość.

– Zachowaj tę gadkę na zebranie.

– Spójrz na zdziczenie Madrytu – mówił dalej wysoki. – Już wpół do dwunastej, a ci dalej żrą.

– Zaczęli jeść o dziesiątej – zauważył drugi kelner. – Dań jest wiele, wino tanie, a oni za nie zapłacili. Nie jest zresztą mocne.

– Jak klasa robotnicza ma być solidarna, skoro istnieją tacy głupcy jak ty? – zapytał wysoki.

– Posłuchaj – zwrócił się do niego ten drugi, mężczyzna po pięćdziesiątce. – Pracowałem całe swoje życie. I muszę pracować przez resztę, która mi jeszcze została. Nie mam nic przeciwko pracy. Praca jest czymś normalnym.

– Tak, ale brak pracy zabija.

– Ja zawsze pracowałem – powiedział starszy kelner. – Idź na zebranie. Nie musisz tu zostawać.

– Dobry z ciebie towarzysz – odparł wysoki. – Tylko brak ci świadomości ideologicznej.

– *Mejor si me falta eso que el otro* – powiedział starszy kelner, mając na myśli to, że lepiej nie mieć tego niż pracy. – Idź na swój *mitin*.

Paco milczał. Nie orientował się jeszcze w polityce, ale kiedy wysoki kelner mówił o tym, że trzeba zabić księży i Guardia Civil, przechodził go dreszcz. Wysoki kelner uosabiał w jego oczach rewolucję, a ta była romantyczna. Sam chciał być jednocześnie dobrym katolikiem, rewolucjonistą, mieć stałą pracę, taką jak ta, i do tego zostać toreadorem.

– Idź, Ignacio – odezwał się. – Zajmę się twoim stolikiem.

– Obaj się nim zajmujemy – dodał starszy kelner.

– To mało nawet dla jednego – powiedział Paco. – Idź na zebranie.

– *Pues, me voy* – odparł wysoki. – I dzięki.

Tymczasem na górze siostra Paco wyswobodziła się z uścisków matadora ze zręcznością zapaśnika i powiedziała rozzłoszczona:

– Tacy właśnie są głodni ludzie. Niewydarzony toreador. Z całą masą strachu. Jak go tyle masz, to użyj go na arenie.

– Tak gada dziwka.

– Dziwka to kobieta jak każda inna, ale ja nie jestem dziwką.

– Będziesz.

– Nie z twojego powodu.

– Zostaw mnie samego – powiedział matador, który pod wpływem porażki i odrzucenia poczuł, jak w całej swej nagości powraca jego tchórzostwo.

– Samego? A to nie zostałeś już całkiem sam? – zapytała siostra. – Nie chcesz, żebym pościeliła łóżko? Za to mi płacą.

– Zostaw mnie samego – powtórzył, a jego szeroka, przystojna twarz wykrzywiła się jakby w płaczliwym spazmie. – Ty dziwko. Ty mała, brudna dziwko.

– Matador – rzuciła, zamykając drzwi. – Mój matador.

Mężczyzna usiadł na łóżku. Jego twarz wciąż była wykrzywiona grymasem, który na arenie przekuwał w nieustanny uśmiech, przerażający ludzi z pierwszych rzędów, świadomych tego, co widzą.

– Jeszcze i to – mówił. – I to. I to.

Pamiętał czasy swojej świetności, ledwie trzy lata temu. Pamiętał ozdobioną złotym brokatem kurtkę ciężącą mu na ramionach w tamto gorące majowe popołudnie, kiedy jego głos wciąż brzmiał tak samo na arenie, jak w kawiarni, pamiętał, jak czubkiem szpady celował wzdłuż ostrza w zakurzone miejsce u nasady łopatek, porośnięty szczecina czarny kłęb mięśni nad parą rozstawionych szeroko, poszarpanych na końcu, dudniących jak drewno rogów, które zniżyły się w tej samej chwili, gdy zadawał zabójcze pchnięcie, pamiętał, że szpada weszła lekko niczym w blok masła, jego dłoń napierała na głownię, lewa ręka była spuszczonej po skosie, lewe ramię wysunięte

w przód, a ciężar ciała spoczywał na lewej nodze, by za chwilę spoczywać już nie na jego nodze, ale na podbrzuszu, kiedy byk, uniósłszy łeb, wziął go na róg i zdążył jeszcze dwukrotnie obrócić jego ciałem, nim go zdołali ściągnąć ze zwierzęcia. Dlatego teraz, ilekroć szykuje się do śmiertelnego pchnięcia, co zdarza się rzadko, nie może patrzeć na rogi; czy taka dziwka może wiedzieć, z czym on zмага się przed walką? Z czym niby zmagają się ci, którzy się z niego śmiali? Wszystko to są kurwy i niech idą do diabła.

W jadalni na dole pikador wpatrywał się w dwóch księży. Gdy w pomieszczeniu przebywały kobiety, patrzył na nie. Gdy nie było kobiet, chętnie przyglądał się jakiemuś obcokrajowcowi, *un inglés*, teraz z braku kobiet i obcokrajowców gapił się na księży. W tym czasie licytator ze znamieniem na twarzy wstał, złożył serwetę i wyszedł, zostawiając prawie pół butelki wina, którą zamówił. Dokończyłby ją, gdyby miał czysty rachunek w Luarce.

Księża nie odwzajemniali spojrzenia pikadora.

– Już od dziesięciu dni czekam na audiencję, siedzę godzinami w westybulu, a on mnie nie przyjmuje.

– Co można zrobić w tej sprawie?

– Nic. Nic się nie da zrobić. Nie postawisz się gorze.

– Tkwię tu już dwa tygodnie i nic. Czekam, a oni nie chcą mnie widzieć.

– Jesteśmy z opuszczonej krainy. Jak skończą się pieniądze, wracamy.

– Do naszej opuszczonej krainy. Co Galicja może obchodzić Madryt? Jesteśmy ubogą prowincją.

– Zaczyna się rozumieć poczynania brata Basilia.

– Nie jestem całkiem przekonany o prawości Basilia Alvara.

– Tutaj człowiekowi otwierają się oczy. Madryt zabija Hiszpanię.

– Niechby nas chociaż podjęli i odmówili.

– Nie, najpierw muszą cię złamać i zmęczyć oczekiwaniem.

– Cóż, zobaczymy. Potrafię czekać jak inni.

W tym momencie pikador podniósł się i zbliżył do ich stołu, stał tam, siwowłoso, o jastrzębiej twarzy, wpatrując się w nich z uśmiechem.

– *Torero* – powiedział jeden ksiądz do drugiego.

– I to nie byle jaki – odparł pikador i opuścił jadalnię, ubrany w szarą taliowaną marynarkę, bryczesy opinające jego pałkowate nogi i cholewiaste buty, których wysokie obcasy stuknęły o podłogę, kiedy kroczył dumnie, uśmiechając się do siebie. Żył w małym i wąskim zawodowym świecie osobistych osiągnięć, conocnych alkoholowych triumfów i zuchwałości. W hallu zapalił cygaro, przechylił kapelusz na bakier i ruszył do kawiarni.

Księża wyszli zaraz po nim, gnani świadomością, że są ostatnimi gośćmi w jadalni, i teraz zostali w niej tylko Paco i kelner w średnim wieku. Sprzątnęli ze stołów i odnieśli butelki do kuchni.

W środku był pomywacz, rozgoryczony i cyniczny chłopak, starszy od Paco o trzy lata.

– Masz. – Kelner w średnim wieku nalał valdepeñasa do szklanki i wyciągnął w stronę chłopaka.

– Czemu by nie – odpowiedział tamten, biorąc szklankę.

– *Tu, Paco?* – zapytał kelner.

– Tak, dziękuję.

Napili się.

– Idę – powiedział kelner.

– Dobranoc – pożegnali się obaj.

Poszedł i zostali sami. Paco chwycił serwetę jednego z księży, stanął prosto, na piętach, opuścił serwetę i podążając za nią głową, zamachnął się na kształt powłóczystej *verónica*. Obrócił się, z lekko wysuniętą do przodu prawą stopą zrobił kolejny zwrot i zyskawszy nieco pola względem wyimaginowanego byka, wykonał trzeci zwrot, powolny, miękki, idealnie zgrany w czasie, a na koniec zebrał serwetę przy pasie i odchylił biodra przed bykiem w *media-verónica*.

Pomywacz, który nazywał się Enrique, przyglądał się temu krytycznym, drwiącym wzrokiem.

– Jak twój byk? – zapytał.

– Jest nieustraszony – odpowiedział Paco. – Spójrz tylko.

Smukły i wyprężony, wykonał jeszcze cztery perfekcyjne zwroty, gładkie, eleganckie i pełne gracji.

– Co z bykiem? – zapytał Enrique, oparty o zlew, w fartuchu, ze szklanką wina w ręku.

– Nie traci pary – powiedział Paco.

– Niedobrze mi przez ciebie.

– Czemu?

– Patrz.

Enrique ściągnął fartuch i przywołując wyimaginowanego byka, wyciął cztery perfekcyjne, powłóczyste cygańskie *verónica* i zakończył reboleerą, przy której fartuch sztywno zatoczył łuk tuż przed nosem byka, kiedy on już się od niego oddalał.

– Widziałeś? – powiedział. – A jestem pomywaczem.

– Czemu?

– Przez strach – odparł Enrique. – *Miedo*. Strach, który czułbyś na arenie z prawdziwym bykiem.

– Nie – zaprotestował Paco. – Ja bym się nie bał.

– *Leche!* – powiedział Enrique. – Każdy się boi. Ale *torero* potrafi zdusić w sobie strach, żeby zapanować nad bykiem. Raz

zgłosiłem się na amatorską walkę, ale byłem tak zestrachany, że nie mogłem się powstrzymać i dałem drapak. Ludzie zrywali boki ze śmiechu. Ty też byś się bał. Gdyby nie strach, każdy pucybut w Hiszpanii byłby toreadorem. Ty, prowincjusz, miałbyś jeszcze większego pietra ode mnie.

– Nie – powtórzył Paco.

Zbyt wiele razy odgrywał walkę w wyobraźni. Zbyt wiele razy widział rogi, mokry pysk, drgnięcie uszu, widział to, jak byk obniża łeb i z dudnieniem kopyt przechodzi do szarży, a wtedy on potrząsa peleryną i rozgrzane zwierzę mija go tylko po to, by podrażnione płachtą zaatakować ponownie, a potem jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze, aż w końcu on wspaniałym *media-verónica* okręca je wokół siebie i byk staje w miejscu jak zahipnotyzowany, on zaś oddala się rozkołysanym krokiem, z byczą szczeciną zapłątaną w złote ozdoby kurtki, a tłum bije brawo. Nie, on by się nie bał. Inni tak. Ale nie on. Wiedział to. A choćby nawet, i tak byłby w stanie to zrobić. Wierzył w siebie.

– Ja bym się nie bał – powiedział.

– *Leche* – powtórzył Enrique. – Możemy to sprawdzić.

– Jak?

– Słuchaj, myślisz o byku, ale nie o rogach. Przy jego sile rogi byka tną jak nóż, dźgają jak bagnet i miażdżą jak maczuga. Patrz. – Wysunął szufladę stołu i wyjął dwa noże do mięsa. – Przywiąż je do nóg krzesła. Uniosę krzesło nad głową i będę udawał byka. Noże to rogi. Teraz twoje zwroty będą coś znaczyć.

– Pożycz mi swój fartuch – powiedział Paco. – I chodźmy do jadalni.

– Nie – zreflektował się Enrique, a z jego głosu nagle zniknęła gorycz. – Nie rób tego, Paco.

– Zrobię – odparł Paco. – Nie boję się.

– Zaczyniesz, jak zobaczysz nacierające noże.

– To się okaże – powiedział Paco. – Daj fartuch.

Podczas gdy Enrique dwa ciężkie i ostre jak brzytwa noże przywiązywał do nóg krzesła za pomocą dwóch brudnych serwet, nawijając je na pół noża i zawiązując na supeł, dwie pokojówki, siostry Paco, były w drodze do kina na film *Anna Christie* z Gretą Garbo. Jeden z księży siedział w bieliźnie i czytał brewiarz, drugi, w koszuli nocnej, odmawiał różaniec. Wszyscy toreadorzy z wyjątkiem tego, który był chory, znajdowali się w Café Fornos: wysoki, ciemnowłosey pikador grał w bilard, niski, poważny matador siedział nad kawą z mlekiem, a przy jego stoliku, pośród innych poważnych ludzi pracy, tłoczył się *banderillero* w średnim wieku.

Popijający siwowłosey pikador siedział z kieliszkiem *cazalla* i gapił się na stolik, gdzie matador, którego opuściła odwaga, i matador, który wyrzekł się szpady, by znów być *banderillero*, siedzieli z dwiema zniszczonymi prostytutkami.

Licytator stał na rogu ulicy i rozmawiał z przyjaciółmi. Wysoki kelner był na zebraniu anarchosyndykalistów i czekał na okazję, żeby zabrać głos. Kelner w średnim wieku siedział na tarasie Café Alvarez, popijając małe piwo. Właścicielka pensjonatu Luarca spała już w swoim łóżku, z wałkiem między nogami; była to postawna, tęga, uczciwa, schludna, łatwa w obejściu i głęboko pobożna kobieta, pamiętająca, by codziennie zmówić modlitwę za męża, który zmarł dwadzieścia lat temu, a którego wciąż opłakiwała. Matador, który był chory, leżał w swoim pokoju z twarzą do łóżka, przyciskając chusteczkę do ust.

W tym samym czasie w opustoszałej jadalni Enrique zawiązał ostatni węzeł na serwetach i uniósł krzesło nad głowę tak, by z obu stron mieć osadzone na sztorc noże.

– Ciężkie – powiedział. – Słuchaj, Paco, to niebezpieczne, nie rób tego. – Cały się spocił.

Paco stał naprzeciwko niego, fałdy fartucha ścisnął w dłoniach, kciuki kierując w górę, a palce wskazujące w dół, i rozpostarł go tak, by przykuł uwagę byka.

– Szarżuj na wprost – powiedział. – I zakręcaj jak byk. Tyle razy, ile chcesz.

– Skąd będziesz wiedział, kiedy skończyć zwroty? – zapytał Enrique. – Lepiej zrobić trzy, a potem *media-verónica*.

– Dobra – zgodził się Paco. – Ale atakuj na wprost. Ha, *torito*! No chodź, byczku!

Enrique natarł na niego ze spuszczoną głową i Paco poderwał fartuch, a ostrze noża, w którym on zobaczył nagle czarny gładki róg z białym koniuszkiem, prześliznęło się tuż obok jego brzucha. Kiedy Enrique minął go i zawrócił z kolejną szarżą, to w istocie zadudniło gorące cielsko byka o zakrwawionych bokach, który zaraz okręcił się jak kot i natarł ponownie na falującą powoli płachtę. Potem byk zawrócił i znów rzucił się do ataku. Paco, wpatrzony w nadciągający punkt, przesunął lewą stopę o dwa cale w przód i wtedy nóż nie prześliznął się obok, ale wszedł w niego lekko jak w bukłak na wino, wokół nagle zeszywniałej w nim stali wezbrała gorąca, parząca fala, Enrique krzyknął: „Aj, aj! Daj mi go wyciągnąć!”, Paco zaś osunął się w przód na krzesło, w rękach wciąż ściskając płachtę z fartucha. Enrique pociągnął za krzesło, a wtedy ostrze obróciło się w nim, w Paco.

W końcu nóż został wyjęty, a Paco siedział na podłodze w rosnącej ciepłej kałuży.

– Przyłóż serwetę i przyciśnij – powiedział Enrique. – Przyciskaj mocno, a ja pobiegnę po lekarza. Musisz zatamować krwotok.

– Potrzebny jest gumowy korek – odparł Paco. Widział, jak używali takiego na arenie.

– Szedłem na wprost – zawołał z płaczem Enrique. – Chciałem ci tylko pokazać, jakie to niebezpieczne.

– Nie przejmuj się – powiedział Paco dochodzącym z oddali głosem. – Ale przyprowadź lekarza.

Na arenie brali cię na ręce i biegiem nieśli na salę operacyjną. Jeśli twoja tętnica udowa opróżniła się z krwi, nim tam dotarłeś, wzywali księdza.

– Powiedz któremuś z księży – powiedział Paco, przyciskając serwetę do podbrzusza. Nie mógł uwierzyć, że to mu się przytrafiło.

Ale Enrique zbiegał już Calle San Jerónimo do całonocnego punktu pierwszej pomocy i Paco został sam, najpierw siedział wyprostowany, potem się zapadł, wreszcie osunął na podłogę, a leżąc, czuł, jak uchodzi z niego życie niczym brudna woda z wanny po wyciągnięciu korka. Przerażony i omdlewający, próbował odmówić akt skruchy, pamiętał początek, ale nim zdążył powiedzieć tak szybko, jak tylko potrafił: „Boże mój, żałuję z całego serca, że obraziłem Ciebie, który godzien jesteś całej mojej miłości, i postanawiam...”, zasłabł, upadł twarzą na podłogę i w jednej chwili było po wszystkim. Przecięta tętnica udowa opróżnia się szybciej, niż można by przypuszczać.

Gdy lekarz z pogotowia wchodził po schodach w towarzystwie policjanta, który trzymał Enrique za ramię, siostry Paco wciąż przebywały w kinematografie na Gran Via, głęboko rozczarowane filmem, który ukazywał Gretę Garbo, wielką gwiazdę, w nadzwyczaj podłych warunkach, podczas gdy one przyzwyczajone były oglądać ją otoczoną luksusem i splendorem. Film bardzo nie spodobał się widzom, czemu dali wyraz gwizdami i tupaniem. Pozostali mieszkańcy pensjonatu robili

prawie to samo, co robili w chwili wypadku, z tą różnicą, że księża skończyli już swoje modlitwy i szykowali się do snu, a siwowłosy pikador przeniósł się z trunkiem do stolika dwóch zniszczonych prostytuttek. Chwilę później opuścił kawiarnię z jedną z nich. Z tą, której wcześniej stawiał matador o zszarganych nerwach.

Młody Paco nigdy się o tym wszystkim nie dowiedział, ani o tym, co robili nazajutrz i w kolejnych dniach. Nie miał pojęcia, jak naprawdę żyli ani jak skończyli. Nawet nie pomyślał, że skończą. Umarł, jak mówi hiszpańskie powiedzenie, pełen złudzeń. Nie zdążył żadnego stracić ani nawet dokończyć aktu skruchy. Tak samo nie zdążył rozczarować się filmem z Gretą Garbo, którym przez tydzień rozczarowany był cały Madryt.